

MNIJ WIĘCEJ (115)



Foto: Zofia Mikula

Pieskie życie

Zgapiłem się z przeczytaniem i recenzowaniem tej książki. Ona wyszła już w ubiegłym roku. Miała kilka recenzji, jednak po swojej lekturze uznałem, że nic się nie przedawniło. Bo to jest książka bardzo ważna i wielce nieszablono- wa. Co ciekawe: Lech Jakób napisał ją jeszcze w latach 90., tekst otrzymał główną nagrodę w Pomorskim Konkursie Prozatorskim, mimo to autor nie zdecydował się na jego wydanie. Wrócił do maszynopisu po latach, przeredagował go i w końcu tę książkę od jakiegoś już czasu mamy.

LESZEK ŻULIŃSKI

Osobliwą. Niełatwą do jednoznacznego zakwalifikowania, aczkolwiek na pewno można powiedzieć, że jest to opowieść o życiu Polaków przede wszystkim w dwóch dekadach PRL-u poprzedzających transformację. Ale mylicie się, jeśli myślicie, że Jakób chciał napisać powieść *par excellence* historyczną i polityczną. Niemniej te dwa ostatnie skojarzenia tłuką się nam pod czerepem jak nietoperz na strychu. No więc uściślij, o co chodzi.

Jest to otóż opowieść o polskiej rodzinie. Główny bohater, Mateusz Hull, razem ze swoją żoną, Renatą, wychowują syna Piotra, poświęcają się swojej pracy zawodowej, urządzają wyśniony dom. Wyglądają na wspaniałą parę, lecz z biegiem lat zaczyna wiać nie tylko chłodem i obojętnością, ale też rosnącą frustracją tego związku. Renata w końcu porzuca dom. Mateusz – architekt – żyje w świecie introwertycznym, w jakiejś magmie pofragmentowanych szczegółów, incydentów, zdrad (które już nie są zdradami); w jego rzeczywistości natłok bezwartościowych szczegółów zaczyna dominować nad sensowną wizją życia, pozbawionego celu. Owszem, angażuje się w jedną ważną

sprawę: wyraźne są jego afiliacje antypeere- lowskie. Najpierw gdzieś incydentalnie pojawia się wzmianka o wydarzeniach roku '68, potem widzimy go w trakcie przesłuchań przez esbecję, a na koniec – w czasie stanu wojennego – żona i syn odwiedzają go w ośrodku dla internowanych.

Ale całość tej fabuły to jakaś osobiwa miazga. I o to właśnie Jakóbowi chodziło. Tutaj nawet erotyzm (momenty są!) jest czymś wypłowiałym i wypranym ze swych naturalnych uroków. Bo świat jest szary, bo wszystko tonie w papce lichych dni, bo samorealizacja zawodowa zamienia się w rutynę, a jakiegokolwiek wizje tzw. pełnego życia są czymś niedorzecznym w takiej strukturze społecznej, czyli „w tym klimacie”. Prywatność staje się ostatnią deską ratunku, lecz ta tutaj prywatność skażona jest bylejakością, bo cała ta biocenoza nie pozwala na życie tzw. pełną piersią. Szarość, szarość, szarość... Pieskie, pieskie życie... W pewnym momencie pada tu jedna z najistotniejszych point tej książki: *Nie być samemu to taka sama sztuka jak być same- mu*. Dla bohaterów książki, jak i dla wielu z nas, samemu jednak łatwiej, bowiem mimo wszelkich udręk takiego stanu możemy już tylko rozmawiać z samym sobą, co jest łagodniejszą i mniej dołującą formą niż dialog.

Wydawca słusznie na okładce skomentował, że powieść Jakóba dotyczy dwóch stanów rozpadu: rodzinnego i „historycznego”. Ta zmurszałość związku Renaty i Mateusza dzieje się paralelnie do specyficznej aury ostatnich lat Peerelu – czyli: nieszczę- ścia chodzą parami i jakoś się rymują. W tym przypadku mamy obraz prywatnej i społecznej kłębki, których aura dziwnie się uzupełnia.

Tyle o fabule. Ale powieść ta była dla mnie przede wszystkim swoistym majstersztykiem narracyjnym. Ona pisana jest jako błyskotliwa „logorea”. Jakób zrezygnował z tradycyjnego zapisu dialogów i wpisał je linearnie w tok zdarzeń fabularnych czy wywodów bohaterów. Ten prosty zapis ważny jest dlatego, że tworzy jakąś pulpę – jakby się wszystko zlewało, komasowało, ewokowało jednym tchem. Świat tak opowiedziany staje się interesująco inny. Chyba prawdziwszy. Zazwyczaj chcemy opowiadać wszystko „po kolei”, logicznie, racjonalnie i komunikatywnie. Tu zostało znalezione inne, lepsze wyjście. Znany nam „luźny strumień wyobraźni” został zastąpiony „luźnym strumieniem incydentów i odruchów” właśnie oddającym cały smak dezintegracji bohaterów i otaczającego ich świata.

W prozie przerabialiśmy w ostatnich dziesięcioleciach już niejedno – od Joyce’a po Robbe-Grilletta i od Białoszewskiego po Słyka. A jednak powieść Jakóba zabrzała mi nową nutą narracyjną. W tym dzisiejszym zgiełku nowych języków literatury bardzo trudno – jak wiemy – opowiedzieć

cokolwiek nowym timbrem.

Trochę mi szkoda, że Jakób wydał tę książkę po wielu latach trzymania jej w szufladzie. Dla mojej generacji ta powieść może być ważna, ale nie wiem na ile porwie ona młodsze zastępy autorów. Oczywiście mało to istotne; raczej ważne jest to, że nasze roczniki opisują nadal lata własnej młodości, opowiadają tę „ciemną materię” minionego czasu. Tym razem otrzymaliśmy i to, i zupełnie nową aurę budowania tzw. świata przedstawianego.

Na koniec jeszcze jedno spostrzeżenie: ach, ta wyobraźnia Jakóba! Ileż tu epizodzików, drobiazgów, szczegółików, skojarzeń, poczucia humoru i talentu surrealistycznego. Jakie wspaniałe „psychologizowanie”. Jaka ilość odniesień kulturowych. *Silva rerum*, papka, logorea – ale wszystkie te cechy dobrze wiedzące, dlaczego i po co są.



Lech M. Jakób, „Ciemna materia”. Wydawnictwo Forma. Fundacja Literatury im. Henryka Berezyna, Szczecin 2013, s. 144.



Rys. Barbara Medajska